Ner 22. Kraków 15 listopada 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr. 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Do numeru dzisiejszego załącza się dla Pren. **nuty.** p. t.: „Barkarola Rubinsteina“.

Julian Klaczko.

(Dokończenie.)

Pobyt Klaczki w Niemczech nie jest nam szczegółowo znanym. W latach 1843—45 słuchał nauk na uniwersytetach w Królewcu i Hajdelbergu. W skutek studiów, a zwłaszcza pod wpływem przyjaźni Gerviniusa słynnego profesora, historyka, krytyka, dojrzał umysł Klaczki. Zarzucił poezyją a oddał się krytyce i publicystyce; w któréj niebawem zasłynął. W roku 1848 wystąpił z broszurą, która nawet wśród powszechnego politycznego zamętu wielkie zrobiła wrażenie. Broszura ta p. t.: „Die deutschen Hegemonen“ — napisana w kształcie listu otwartego do Gerviniusa, kreśli lapidarnym stylem przewrotne dążności ówczesnych przywódzców narodowego ruchu niemieckiego, wykazuje wyższą potęgę żywiołu słowiańskiego, nad chorobliwemi, nieświadomemi siebie objawami niemieckiego ruchu podówczas, przepowiada rozchwianie się Związku niemieckiego sztucznie skleconego z drobnych państewek szukających schronienia pod płaszczem cesarzów niemieckich. Głównych wrogów Słowiańszczyzny widzi autor w Niemczech i Węgrzech. Charakterystyka hegemonów frankfurckich, którzy w szacie liberalizmu deptali prawa innych narodów oddecha taką złośliwą i niezbitą prawdą, że Prusacy broszurę tę palili i dlatego tylko w odpisach krąży ona po Wielkopolsce. — Wiemy np., że kiedy jednemu z znakomitych Niemców czytano tę broszurę, musiano go trzymać jak chorego, któremu się gwałtem zadaje lekarstwo.

Już więc pierwsze to wystąpienie zapowiedziało w Klaczce publicystę europejskiego znaczenia.

Od r. 1849 osiadł w Paryżu, zaprzyjaźniony z Krasińskim (podobno był nauczycielem jego dzieci) przyłączył się do stronnictwa grupującego się około starego X. Ad. Czartoryjskiego i w tych latach zapewne przeszedł na wyznanie rzymsko-katolickie. Odtąd rozpoczyna się właściwa jego działalność jako pisarza władającego zarówno językami: polskim, hebrajskim, niemieckim i francuzkim. Prace jego polskie i francuzkie umieszczane w wybornem piśmie: „*Revue de Deux Mondes*“, wywierają wielki wpływ tak w kraju, jak i za granicą; za rozprawy w sprawie polskiéj i duńskiéj zaszczycony został orderem Dannebroga i piastuje obecnie godność bibliotekarza ciała prawodawczego w Paryżu.

W szczegółowy rozbiór prac jego nie możemy się tu wdawać, musimy się ograniczyć na wyliczeniu ich i charakterystyce ryczałtowéj.

Od r. 1857—1861 był głównym współpracownikiem pisma „Wiadomości polskie“, wychodzącego w Paryżu, które miało tę nieposlednią zasługę, że w czasie przymusowego milczenia i prowincyonalnego charakteru pism krajowych, ogarniało zarówno wszystkie ziemie polskie i wszystkie kierunki, w których duch i praca narodu się objawiała. W tém to piśmie drukowane były prawie wszystkie wydane późniéj osobno rozgłośne jego rozprawy, z których ważniejsze są:

O szkole polskiéj, o Polakach w Syberyi, Krewni — gwałtowna krytyka powieściowego kierunku Korzeniowskiego, który bohaterów swoich na Kaukaz do wojska rosyjskiego po odrodzenie się wyséłał: Sztuka polska, natchniona napomnieniem, żebyśmy sobie nie przystrajali więzienia — wywołana panującym podówczas szałem. Autor już z pochodzenia swojego izraelskiego wyłącznie tylko dla poezyi i muzyki usposobiony, a nie mający (jak cały naród izraelski) poczucia i skłonności do sztuk plastycznych, odsądza stanowczo naród polski od malarstwa i rzeźby*) Gladiatorowie, rozbiór poematu Lenartowicza — Korespondencyja Mickiewicza, *Le poëte anonyme*, (Revue 1862), itd. Są to przedmioty literacko-krytyczne, ale traktowane z wysokości wymagań polityki narodowéj.

Do politycznych pism należy: Katechizm nie rycerski, broszura przemijającego znaczenia, wystósowana przeciw agitacyjom jenerała Mierosławskiego.

Szereg prac zamieszczanych w „Revue“ wydany razem jako gruby tom w r. 1866 p. t.: „*Etudes de*

*) Po bliższy rozbiór téj broszury odsełamy do poprzednich nrów „Kaliny“, w których zamieszczona rzecz p. t.: Artur Grotger.

Diplomatie contemporaine, Les cabinets de l'Europe en 1863—1864" — jest to krytyczna historyja polityki w tych latach. Wiążą się z nią najświeższe rozprawy zamieszczone w „*Revue*" — a również osobno wyszła: „*Le congrès de Moscon et la propagande panslaviste*".

Zarówno w literackich, jak i politycznych pismach swoich jest Klaczko najdzielniejszym rzecznikiem stronnictwa, które w ostatnich latach nazwane zostało białém. Tak białe jak i czerwone stronnictwo w Polsce wychodziło z jednéj zasady. Naczelnèm przykazaniem było dla obydwóch wewnętrzny rozwój sił narodowych — atoli dalsze drogi rozchodziły się. Czerwone chciało w danych korzystnych okolicznościach zestrzelić wydobyte siły narodu, i samodzielném powstaniem o własnych siłach zdobyć niepodległość. — Białe chciało okazaniem sił narodowych uzyskać pomoc obcych państw dla restauracyi Polski. Gdyby między obu temi stronnictwami była łączność, nietylkoby nie szkodziły sprawie, ale owszem wspierałyby się nawzajem w różnych kierunkach. Niedopuszczała jednak tego wiekowa nieufność, waśnie społeczne, nieuzasadnione obawy krwawéj demagogii z jednéj strony, a osobistych familijnych pretensyj z drugiéj strony. — Ztąd wynikło, że oba stronnictwa odpychając się nawzajem, wpadały zawsze w jednostronność na szkodę sprawy. Czerwone krzątając się za własnemi siłami, popadało w zawczesne albo konieczne powstania bez względu na stan różnych ziem polskich i na okoliczności zewnętrzne; białe oglądając się za dyplomacyją, lekceważyło siły własne, usuwało się od akcyi, która przez to musiała być cząstkową, a nawet paraliżowało ją (zarówno w 1830 jak i 1863 r.) potępiając wszelki krok nielegalny i licząc jedynie na pomoc gabinetów. Jest to wiekowe błędne koło, w którém się gubiły wszelkie usiłowania narodowe.

Stronnictwo białe oprócz predylekcyi do mocarstw zachodnich, obierało sobie zawsze któreś z mocarstw rozbiorowych, jako bożka, do którego się modliło. Inaugorowana przez Czartoryjskich za Sasów polityka opierania się na Rosyi i wyczekiwania od niéj zbawienia, trwała od Targowicy, Aleksandra I., aż do upadku powstania r. 1830, a następnie usiłował ją wskrzesić Wielopolski.

Atoli (mniéj więcéj od r. 1846) nastąpiła zmiana frontu. Podniosłszy obawy panslawizmu, obawy szyzmy zagrażającéj kościołowi katolickiemu, odwrócono się od Rosyi, zidentyfikowano sprawę Polski, ze sprawą katolicyzmu, a ztąd wynikło dalej zwrócenie się do Austryi. Nadzieja pomocy ze strony Austryi stała się odtąd wiarą tego stronnictwa, a pierwszém jego przykazaniem utrzymanie i podniesienie potęgi Austryi i wywołanie przymierza francuzko-austryjackiego. Zasady te kierują odtąd krokami tego stronnictwa, wpływają przeważnie na postępowanie i ustępowanie pojedynczych prowincyj polskich, na zachowanie się i stosunki z innemi ludami słowiańskiemi, a trybunem téj polityki jest Klaczko. Już Wiadomości polskie torowały drogę temu kierunkowi, a wyraźnie jest on już wytknięty w francuzkich pismach Klaczki. Bez łączności z innemi kierunkami wpada on już w jednostronność, w doktryneryją, w uprzedzenia i zawziętości wcale niepolityczne, które np. rozprawie: „Kongres słowiański" — nawet literackiéj wartości wiele odejmują. Żałować trzeba, że taki talent jak Klaczko, znajduje się obecnie na niebezpiecznéj pochyłości; obawiamy się, żeby nie utonął w jednostronności i nie zboczył ze stanowiska ogólno-polskiego, na tory biegłego publicysty, który jednak w oddaleniu traci coraz więcéj bezpośrednie poczucie i świadomość właściwych pulsów bijących w kraju. W każdym razie obywatelskiéj służby prokuratora sprawy polskiéj w obec świata, nikt lepiéj i zdolniéj od niego nie pełnił — szkoda, że to praca jak dotąd bezowocna — a nawet jak w r. 1863 szkodliwa*).

Naznaczyliśmy tu obszerniéj nieco, niżeśmy zamierzyli stanowisko Klaczki wśród naszéj porozbiorowéj historyi. Nie wyczerpaliśmy jednak przedmiotu, owszem ledwieśmy go dotknęli — szczegółowsze bowiem ocenienie i rozprawienie się z kierunkami spółczesnemi, zawiodłoby nas na pole polityki — co do naszego pisma nie należy.

Nie w porę.

Raz byłem u niéj; z kotkiem na ręce
Siedziała w oknie w białéj sukience,
I paluszkami drażniła kotka
Pieszczotka.

W koło twarzyczki dziewczęcia białéj,
Zarumienionéj — loczki się chwiały,
I uśmiechały się oczki czarne
Figlarne.

Siedzę i czekam godzinę całą,
By dziewczę z kotkiem igrać przestało,
I pogadało kilka słów ze mną.
Daremno!

Ani mnie widzi, ani mnie słyszy,
Kotek jéj rączki chwyta jak myszy,
Czasem zadrapie — ona to woli,
Choć boli.

Więc rzekłem sobie: jeszcze zawcześnie
Pukać w serduszko, co leży we śnie;

*) Klęski zadane nam przez opiekę dyplomacyi wymownie stwierdza nam Klaczko: „Etudes" str. 153 i nast.

I unikałem dzieweczki białéj
Rok cały.

Kiedym powrócił, znów w tym pokoju,
Przy tém okienku pełném powoju,
Kwiatów — siedziała moja śliczotka
Bez kotka.

Lecz była czegoś trwożna, nieśmiała,
Oczka ku ziemi spuszczone miała,
I nie wiem czemu upiekła raczka
Biedaczka.

Byłem pewniutki, że z méj przyczyny:
Wtém wiatr firanek ruszył muszliny,
I zobaczyłem sprawcę rumieńca —
Młodzieńca.

I znów panienka, jako przed rokiem,
Choć siedzę blisko — nie rzuci okiem;
Lecz już nie kotek tą razą winny —
Kto inny!
Kto inny szepta miłośnie w uszko,
Kto inny zbudził śpiące serduszko —
Ha! szkoda! późno przyszedłem trocha —
Już kocha.

M. B.

O powieści i powieściopisarzach

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy.)

Są jednak obok tego inne żywioły w Richterze, które wiecznemi nazwać można, a które znów w kolosalnym rozmiarze powtórzyły się w Hoffmannie. Głównym z nich jest owa dziwna, nieporównana ironia. Pod piórem tych pisarzy po raz pierwszy śmiech stał się bodźcem do głębokich rozmyślań, dziką muzyką, która porusza wszystkie sprężyny czucia w człowieku i przez reakcyję obudza najwznioślejsze poglądy na ludzi i zasady! Oni ironii nadali charakter chrześciański, starli z niéj piętno pogańskie, czyniąc śmiech bratem łzy, żałosną nędzy ziemskiéj mową, wyrazem zadziwienia nad sprzecznością życia od ideału, rzeczywistości od prawdy.

Dojrzała nareszcie wielka reforma w wyobrażeniach i literaturze, a w skutek niéj zjawił się romans historyczny, jako odbicie a raczéj promień téj wielkiéj idei ożywczéj naszego wieku Narodowców, któréj (jak mniema Menzel) *Herder* był pierwszym znakomitym organem w literaturze. Myśl narodowości, a raczéj indywidualność ludów powstała z sumienniejszego i głębszego badania dziejów, literatury i całéj w ogóle przeszłości, do którego się gorliwie wzięto w nowszych czasach. Była ona wypływem przekonania nabytego doświadczeniem, że ludy własną tylko myślą, wyssaną ze swojéj przeszłości, winny postępować po szczeblach poprawy społecznéj. Oprócz tego myśl ta w wieku reform, kiedy ślady przeszłości codziennie się zacierają, stała się niezmiernie poetyczną, otwierając dla każdego ludu świat pamiątek historycznych do wydobycia. Wielka ta myśl rozwinęła dzieje pojedynczo każdego z ludów wywiodła na jaw w najdrobniejszych szczegółach właściwe ich przyrodzenie i życie, i tym sposobem pomogła im do wskazania dróg właściwych ku przyszłości. Romans historyczny ma tę zasługę, iż wyrabiał tę myśl na torze sobie właściwym, pomógł on do zrobienia jéj popularną.

Jakeśmy tedy widzieli, już dawno romanse kołacą się po świecie, a przecież ich nigdy dotąd za potrzebę a tém mniéj za potęgę nie uznano. Czytano wprawdzie z chciwością wszelkie płody utalentowanego pióra, rozrywano się niegdyś „Gil-Blasem“, płakano nad „Klarysą“, filozofowano z „Panglosem“, kochano się w „Manon-Lescaut“, unoszono się nad „Heloizą“, szalano za „Wertherem“, gorszono się z „Lucyndy“, — lecz koniec końcem wszelkiemi tego rodzaju płodami, jako marnym pokarmem zwykle pogardzano. I słusznie. Marnym był ten pokarm aż do dni niemal naszych, mimo kilku świetniejszych wyjątków, zapowiadających jego przyszłe losy. A przecież autorom ich wysokiego talentu odmówić niepodobna, a nawet głęboka poczciwość wielu z nich żadnéj wątpliwości nie dopuszcza. Cóż więc wówczas być mogło niedołęztwa romansu przyczyną? Oto sam romans nie wierzył jeszcze w siebie, i dlatego téż nikt w niego nie wierzył. Naprawdę w siebie wierzyć zaczął dopiero od „Wielkiego nieznajomego“. I wnet téż, dzięki *Walter-Skotowi*, świat zaczął ufać w romans i ufać romansowi — albowiem świadectwo swoje przyniósł z sobą. Zaczął od przeszłości i powoli powoli zbliżał się ku teraźniejszości.

Niezmierna sława *Walter-Skota*, twórcy romansu historycznego, niezliczona liczba naśladowców, która poszła jego torem, dymy kadzideł, jakie otoczyły tego pisarza, nadają romansom wielką historyczną wagę Zajaśniał geniusz Walter-Skota — i wiadomo nam, jak wielki skutek sprawiło to zjawienie, które stanowi epokę w literaturze europejskiéj. I w rzeczywistości jest on wielkim artystą, który myśl wieku w poetyczną, popularną i do tego nową postać oblec i wielkiém bogactwem fantazyi ożywić umiał. Czasy upłynione zyskały malarza wolnego od namiętności, wolnego od przesądów. Umiał on obrać dla siebie stanowisko, z którego obejmował zarazem wszystkie zwyczaje i obyczaje, wszystkie wzruszenia i działania, słowem zewnętrzne

i wewnętrzne życie zniknych pokoleń. To zaś podziwiamy najwięcéj w Walter-Skocie, że u niego poeta, autor, romansista znikają; a czytając jego romanse, ani pomyślimy, że jakaś ręka niewidoma porusza wszystkie te osoby, niby maryjonetki historyczne; do tego stopnia posunięte jest omamienie. — Został on po dziś dzień sam jeden w swoim rodzaju. Napróżno większa część jego naśladowców usiłowała zabezpieczyć się przeciwko własnym uwidzeniom; zawsze widzieli świat mniéj więcéj przeistoczony wpływem swoich nawyknień i własnego sposobu myślenia, świat ubarwiony kolorytem wyobraźni, a zmieniony złudzeniem pojęcia i zwodniczym odblaskiem przesądów. — Walter-Skot jest dotąd jedynym; winien zaś to wyosobnienie swéj bezstronności. Bo czy kto mizantrop, czy wesoły albo satyryczny, czy należy do jednéj lub drugiéj partyi, jak tylko namiętności i wyobrażenia jemu właściwe zapuszczają zasłonę pomiędzy nim a światem obecnym lub historycznym, tedy on nie jest już romansistą; zbywa mu bowiem na czystości i naturalności pojęcia, która nas tkliwymi czyni na cierpienia, równie jak na uciechy i radości wieśniaka i pana lennego. Tak właśnie pojmował historyją Walter Skot podług swojego pierwowzoru, jakim był dla niego *Troissard*. Jest on naocznym świadkiem wszystkich wydarzeń życia publicznego i domowego osób, które wprowadza na widok, i to nie świadkiem zimnym, ale i czułym na wszystkie ich nieszczęścia, nadzieje i uciechy. Nie zaspokoiłby zupełnie naszego upodobania, gdyby był tylko biegłym starożytnikiem, a nie miał w sobie prostoty i szczerości; gdyby tylko troskliwie i wiernie był zebrał czyny nierozwagi i zaślepienia Purytanów szkockich, a nie dał nam zarazem poznać ich szlachetności i wytrwania w raz powziętym zapale; gdyby się tylko okazał postrzegaczem satyrycznym błędów i zdrożności dawnych czasów, a nie odmalował wiernie pięknych czynów przodków. — Romans Walter-Skota tak jest przystępny, poetyckie jego znaczenie wynika z przedmiotów tak nam znajomych, tak powszednich, że to samo nieraz przeszkadza uznaniu go za zjawisko sztuki tak wysokie, jakiém jest w istocie. Niejeden zdziwi się, że te utwory tak popularne u nas, mieszczę śmiało obok dzieł sztuki, które przywykliśmy uważać za gwiazdy niedostępne, świecące od dawna nie pod naszą szerokością! To jednak nic nie stanowi. Właśnie sprawą jest geniuszu, w korzyść obrócić rzecz, którą miano pod ręką, ale nie poznawano się na niéj. Popularność tak szeroka, jaką od pierwszego pojawienia zjednały dla siebie romanse Walter-Skota, — popularność jednakowa w tylu rozlicznych krajach i w zdaniu tak nierównego polotu umysłów, w mniemaniu płochego młodzieńca i lorda *Byrona*, który mówił: „że mając z nich tylko złożoną bibliotekę, nigdyby się nie znudził“, w oczach damy wielkiego świata, w oczach wieśniaczki i w oczach pani *Staël*, która wyznawała, że przeczytanie Antykwaryusza nowém ją zasiliło życiem — taka popularność jest zaiste wyższym nad wszelkie rozumowania dowodem, iż genialny bajarz szkocki wypełnił to, czego potrzebę uczuwano, za czém tęskniono. Takowe zaś doskonałe trafienie w ducha swéj epoki, jest właśnie znamieniem geniuszu.

Jeżeli powiedzieć można, że romans historyczny i obyczajowy przez tysiączne kształty szukał, ażeby natrafić na prawdziwie dopiero artystyczną budowę romansu Walter-Skotowskiego, to z nierównie większą pewnością twierdzić możemy, że za pojawieniem się jego, poezyja, historyja, sztuka, żywiły się pożyczonym u niego wątkiem. Co do historyi najznakomitsi pisarze współcześni: *Barante*, *Salvandy*, *Thierry* wyznają to otwarcie; zapiera się tego bezskutecznie poezyja. Pomimo hafty rymu i rozlicznych upiększeń, poemata tamtoczesne były tylko małemi obrazkami naśladowanemi mniéj więcéj szczęśliwie z malowideł wielkiego romansopisarza. Nasza właśnie literatura mogłaby to wesprzeć niejednym przykładem. Uczeń *Merlina* zaklął wszystkie kryształy poezyi, aby te odbijały malowność historycznych i narodowych pamiątek, ale gdzież one się pojawiły, jeżeli nie na skale Loch-Katrinu i Loch-Lomondu? Trzeba jednak przyznać, że i czas i miejsce przygotowały Walter-Skotowi materyjały i wyniańczyły jego geniusz. On miał wywieść uroki poetyczne z historyi i zastaje historyję w swéj ojczyźnie nie zawiniętą już w upowicie mumii, pastwą molów i zapomnienia, ale jeszcze żywą, jeszcze drgającą. Starcy opowiadają z uczuciem dzieje przed 60cią laty zaszłe; nie wygasły jeszcze dawne sympatyje Jakobickie; żyją katolickie rodziny; góralskie plemiona nie zapomniały swéj dumy i genealogii. Przypominam teraz, że najcudowniejsze właśnie romanse Walter-Skota są wzięte z tych żywych tradycyj.

Drugą osnową romansów Walter-Skota, są obyczaje narodowe, a jak je łatwo było zajmującemi uczynić w oczach tych, którzy je szanują, kochają się w nich, nie urągają się jak dzieci płoche, z przestarzałéj sukni ojcowskiéj! W tém jest żywe źródło poezyi angielskiego pisarza, i dlatego sposób jego jest tak swobodny, nie pedancki, pełen prawdy i życia.

Czyż kto z poprzedników lub naśladowców Walter-Skota ma taką jak on trafność pojęcia, taką bezstronność, tak łatwe i do wszystkich przedmiotów rozciągające się współczucie? Romans historyczny *Struta* jest tylko zbieraniną starodawnych kirysów i hełmów. U panny *Edgeworth* jestto jedynie nauka moralna. — *Banim*, pisarz irlandzki widzi tylko same mary senne i nocne, słyszy tylko dzwony pogrzebowe, maluje tylko sceny okropne, pomieszane ze śmiesznemi; ale z całą potęgą myśli, obfitością wynalezienia trzyma się zawsze jednego kierunku, zawsze na jednéj i téj saméj drodze. Łąki

zieleniejące, brzegi malownicze i nadbrzeżne rozłogi, kopalnie węglane z dziwacznem swojém wejrzeniem, stare zamczyska i zmienne niebo Irlandyi ukazują się mu, jakby pod osłoną rozwiewną i nasadzoną blaszkami złotemi. Zbyt wiele jest u niego wypracowania w rysach i przesady w kształtach osób skreślonych; wywołuje on cienie, mnoży dziwotworne istoty, a nasza historyja codzienna, nasze życie rzeczywiste jest mu prawie nieznane. Dlatego też romanse Banima są to powieści niepospolite w swoim rodzaju, jako przerażające strachem, pełne wszelkich wzruszeń, lecz zamykają się całkiem w obrębie romansu, a w obręb historyczny nie wchodzą. — *Horacy Smith*, który także starał się jak najbliżéj naśladować mistrza szkockiego, zwrócił niemal całą swoją uwagę na przedmioty materyjalne historyi. Posiadając dar żywego wyobrażenia martwéj natury, nie umiał malować natury żyjącéj i poruszanéj namiętnościami. Znajdujemy u niego pod dostatkiem aksamitu, koronek, znajdujemy ostrogi starożytne, pochwy od pałaszów i zbroje wszelkiego rodzaju, których opisanie po kilka stronnic zajmuje i w których on przepatruje wszystkie sztuki większe i mniejsze, a nawet błyszczących ćwieczków nie pomija. — Widzieć jak najdaléj na wszystkie strony i wiernie malować, oto są dwa warunki konieczne potrzebne w trudnéj sztuce, jakiéj się poświęca romansista historyczny.

(Ciąg d. n.)

KARYKATURY.

(Wyjątek z teki podróżnéj.)

(Dokończenie).

III.

Do narady przybyła jeszcze jéjmość pani burmistrzowa. — Wpadła jak bomba do kancelaryi.

— Mężusiu, ody, ody.

Burmistrz przestraszony nagłym napadem chwycił za karafkę.

— Alež ody, nie wody — na gwałt trzeba. — Pani Madamska pragnie także popisać się z uczennicami swemi i chce przyjąć księcia kwiatami i śpiewem; muzykę już zrobił organista, potrzeba tylko do niéj jakiéj ody.

— Ależ rybko, ta tu u pani Madamskiéj panny ledwie gamy śpiewać umieją.

— To nic, poprosi się panien z całego miasta; każda z nich chętnie będzie udawać pensyjonarkę, już ja ręczę — w ostatnim razie poprzebiera się mężatki za panny; przecież książę tak ściśle wchodzić w to nie będzie; — ale ody trzeba natychmiast.

— Żeby to pan literata był łaskaw, wszak to dla szczęścia miasta naszego — odezwał się burmistrz zalecając się uśmiechem do mojéj muzy.

— Ja panie jestem literatą od prozy tylko; do wyszukiwania rymów brakowało mi zawsze cierpliwości.

— A rozumiem, rozumiem, pan jesteś specyjalistą Ho, ho, panie, ja się znam na tém. A ja panie, jeżelim co pisał, to tylko wierszem; jak prozą co zkoncypowałem, to nigdy panie sensu nie miało; a w wierszu to to jakoś nie źle jeszcze wyglądało. I teraz gdyby nie brak czasu... co tu robić?

— Ja znam w Krakowie jednego literata, który na przyjazd wszystkich znakomitości wiersze pisuje.

— Wiem, wiem panie, talent ogromny, czytaliśmy tu wszyscy, było w gazecie; ale na to nie ma czasu, telegrafu nie ma, bo to u nas panie cywilizacyja żółwim krokiem postępuje. — Ale wiem kto napisze — zawołał nagle plasnąwszy palcami — wiesz Kundziu, aptekarz napisze. U niego panie wiersze jak z rękawa, a i polityk nie lada — on wszystkim tłómaczy niezrozumiałe wyrazy artykułów wstępnych — tęga głowa, powiadam panu. Chodźmy do niego. Kundziu! ty pamiętaj, aby wszystko....

— A obiad?

— Późniéj, późniéj. Ty mnie znasz, że u mnie dobro publiczne przedewszystkiém.

— Pierogi ze śliwkami wystygną.

— Pierogi są? A, to zmienia trochę postać rzeczy. Panie literata, czybyśmy nie mogli przejść do aptekarza po południu?

— A po cóż ja?

— A koniecznie. Bo widzisz pan pod sekretem mówiąc między nami — aptekarz ładne wiersze robi, o rym u niego fraszka; ale o sens trudniéj; więc pan dasz sens, on to ubierze w rym; organista podłoży muzyczkę, panny wyśpiewają, a książęce uszy się ucieszą. — Teraz panie wielkie rzeczy tylko wspólnemi powstają siłami. — To duch czasu, duch czasu.

— A możeby pan z nami obiadek pozwolił — co? skromny, skromny, ot zwyczajnie, obywatelski.

— Ha, idąc za duchem czasu, gdzie wszystko wspólnemi siłami — odrzekłem śmiejąc się.

— O! satyryk — rzekł burmistrz klepiąc mnie po ramieniu.

— Jeszcze nas opisze — mruknęła burmistrzowa nie zbyt rada z zaprosin męża.

— Bądź pani spokojną — nie pisuję książek o obiadach.

Burmistrzowa omal, że się nie zarumieniła. Niestety natura odmówiła jéj téj przyjemności dając jéj na twarzy kolor przekwitającéj piwonii.

Weszliśmy do jadalnego pokoju — osłupiałem. Pokój był prawie pusty, poobdzierany ze wszystkich ozdób, sprzętów prawie żadnych; panny siedziały na kuferku przy stole w dość zaniedbanéj toalecie z poskręcanemi na głowie loczkami, co je robiło podobnemi

do... tu wrodzona grzeczność dla dam wytrąca mi pióro z ręki i zabrania porównania.

Za naszém wejściem, a raczéj (śmiem sobie pochlebiać) za mojém, panny krzyknęły i chciały dezertetować.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi; przecież pan literata wie, że od święta inaczéj wyglądacie.

— Cóż się wstydzicie? przecież to nie konkurent — szepnęła znowu na boku mama.

— Niech się pan nie dziwi nieporządkowi, u nas tu panie rujnacyja ogromna. Dywany dało się do okna, właśnie je trzepią — meble poszły do tapicera, bo będę panie brilować na balu. Firanki i inne drobiazgi także poszły na ubranie sali; córki także jak pan widzisz w przygotowaniach na bal; tak więc cały dom na usługi dobra publicznego.

Dalsze eksplikacyje utopił burmistrz w zupie, nastało chwilowe milczenie, podczas którego brzęk łyżek i chlipanie na rozmaite tony zastępowało rozmowę. — Skoro jednak buzia p. burmistrzowéj odbyła się z tą czynnością, wnet gwarniéj zrobiło się przy stole. Rozumie się, że znowu osią rozmowy był przyjazd księcia; teraz koło téj osi kręciły się wszystkie myśli, czynności i języki.

— Czy to prawda kochanku, że książę ma ministrem zostać?

— Żeby tylko chciał, to go się jeszcze prosić będą. Ja mu to zawsze przepowiadałem. O hrabiów u nas to nie trudno, (filozofował burmistrz z powagą), możnaby nimi Amerykę całą obdzielić, gdzie podobno ich brak wielki. — Ale książę, to panie zawsze rarytna rzecz. Księciu być ministrem — to bagatela. Ja mu to zawsze przepowiadałem.

Prorokowanie, przeczucie należało do słabości pana burmistrza.

— A wiecie państwo co? Mówcie sobie jak chcecie, ja przecież miałem przeczucie, że książe odwiedzi nasze miasto. — Kundeczko, pamiętasz, jak nastawałem na to zeszłego roku, żeby drogę od końskiego targowiska obsadzić drzewami? Jakbym przeczuwał, że trzeba ozdobić tę drogę dla dostojnego gościa. A salę balową kazałem odświeżyć nie dawno. Czy to nie było przeczucie? Widzisz pan, to ja zawsze tak. Co się gdzie ma stać ważnego, zawsze zwącham, odgadnę, przepowiem. — Kiedy się panie w Warszawie rozpoczęły te rozruchy z krzyżami, ja mówiłem, że się to źle skończy. A co Kundeczko, nie mówiłem?

— Nie przypominam sobie.

— Ale jak Europę kocham mówiłem i dlatego centa panie nie dałem. Dziś panie grosz drogi, na niepewne go się nie wydaje.

— Bardzo słusznie — rzekłem. — Ale wiele téż tak pan wydał na przyjęcie księcia?

— No widzisz pan inna rzecz książę, mamy względem niego pewne obowiązki.

— Pan szczególniéj.

— Jakto pan myślisz? — spytał zmieszany nieco.

— No jako burmistrz miasta.

— A tak, tak.

Podczas téj rozmowy naszéj pani burmistrzowa przeglądała listę osób zaproszonych na bal.

— Co? co? Szczypczykowiczowa? Mój kochany jeżeli ona będzie na balu, to żadna porządna osoba się tam nie pokaże. Uważa pan, ja mam być z moją szewcową razem na balu?

— To ją wymaż kochanie — nie ma o co się spierać.

Burmistrzowa korzystając z pozwolenia, wymazywać zaczęła wszystkie swoje niesympatyje.

— Fipińska nie kłania mi się teraz — przekreśliła.

— Marmurkiewiczowa nie usunęła mi się z ławki w kościele — przekreśliła.

— Kokonowiczowa powiedziała na mnie żem...

— Ależ duszko coś za wiele kreślisz.

— Przecież Kuferkiewiczowéj zostawić nie mogę.

— Ależ to wcale elegancka kobieta.

— Właśnie dla tego. Chce, żeby wszyscy tylko ją podziwiali i jéj brylanty. Jak jéj nie będzie, to się inne lepiéj wydadzą.

— Ha, rób jak chcesz — rzekł burmistrz.

Pani burmistrzowa z pospiechem zaczerniła atramentem nazwisko pani Kuferkiewiczowéj.

Nie wiem jak się to stało, że chociaż téj rozmowy nikt nie słyszał prócz nas i służącéj zmieniającéj talerze — pani Kuferkiewiczowa o treści jéj wnet była uwiadomiona i gdyśmy z burmistrzem wychodzić mieli do aptekarza, naraz zjawia się nizki, tłuściutki Kuferkiewicz i z rozkrzyżowanemi rękami zastąpił nam drowe drzwiach.

— Burmistrzu! na Boga, coś ty zrobił? Zabiłeś mi żonę.

— Ależ panie Kuf...

— Zabiłeś. — Ona tam teraz spazmuje, mdleje, okropność.

— Ależ z jakiego powodu?

— Nie chcesz jéj zaprosić na bal. A ona już suknie szyć kazała na gwałt. Burmistrzu, taka zniewaga. — Za co? — Czy ja to podatków regularnie nie płacę, czy co? — Czy nie bywamy w kościele jak Bóg przykazał, czy co? A że nam Pan Bóg odmówił potomstwa, to z tego jeszcze nie wynika, żebyś ty nam odmawiał wstępu na bal.

— Ależ niepodobna, żebyśmy się wszyscy pomieścili.

— Ja być muszę, moja żona być musi, bo onaby umarła z tego.

— Ależ prędzéjby umarła w sali balowéj, gdzie będzie duszno i ścisk duży.

— A jeżeli ona chce? Burmistrzu nie jesteś doktorem, nie masz prawa przepisywać mojéj żonie, gdzie ma umierać. Jeżeli nas ten afront spotka, ja zanoszę skargę do rządu, do samego ministerium, ja wypiszę, że pp. urzędnicy w godzinach biurowych siedzą w handlu, że wyręczają się aplikantami a sami nic nie robią, że biorą...

— Ależ mój panie —

— Jakem Kuferkiewicz. — Moja żona ma wpływy w Wiedniu....

— Ależ któż panu powiedział kochany panie Kuferkiewicz, że nie jesteście zaproszeni. — Ja tylko z obawy o delikatne zdrowie żony pańskiéj chciałem radzić... ale kiedy chcecie dusić się, to się duście — oto karta zaproszenia.

Pani burmistrzowa stłukła talerz z rozpaczy — a my z burmistrzem wynieśliśmy się przed gradem jéj słów — do aptekarza.

Nie zastaliśmy go w aptece; powiedziano nam, że jest na podworcu. Poszliśmy tam i zobaczyliśmy ciekawy widok.

Na podworcu za studnią siedziało i stało kilku mieszczan przesławnego grodu Pipidówki, przypatrując się z powagą przedstawieniu, jakie dawał z siebie aptekarz nizki, otyły, rudy, ubrany w kontusz, który mu nogi zakrywał, w konfederatkę ogromną, która mu prawie na ramie spadała, co przy rudéj hiszpance i złotych okularach robiło aptekarza tak pociesznym, że trudno było patrzeć na niego bez śmiechu. Stał w jednym końcu podwórca z przyłożonym do boku pasem, którego drugi koniec trzymał chłopiec na drugim końcu podworca. Naraz pan aptekarz począł jak derwisz kręcić się koło pasa i obwijać.

— Źle, zawołał doszedłszy do chłopca — koniec mi wypadł za długi. Jeszcze raz.

Odkręcił się i znowu zakręcił z poprawką. Tą razą pas obwijając coraz niżéj postać szanowną, obsunął się aż do kolan, ściągnął nogi i aptekarska figura zwaliła się z nóg jak długa, a raczéj jak krótka, na ziemię.

Na tę scenę weszliśmy właśnie, gdy potłuczonego derwisza podnoszono z ziemi.

— A to co? — spytał burmistrz.

— Uczymy się wiązać pasy — odrzekł zasapany aptekarz i z końcami do końca trafić nie możemy; a guz panie to raz z tyłu wypada, to z boku. — Nie damy rady.

— Nie damy — powtórzył chór mieszczan.

— Trzeba będzie posłać na Chranczówkę po starego aktora, on nas wyuczy tego.

— Ale gdzież nogi podziałeś aptekarzu? — zapytał burmistrz widząc poły kontusza wlekące się po ziemi.

— A są — o! — tu roztworzył poły i pokazał żółte, obszerne buty.

— Trzeba będzie obciąć kontusz, by sprezentować światu nogi — proponował burmistrz.

— Nigdy w świecie, za nic w świecie. To spuścizna po dziadku; jak ją wziąłem, tak ją przekażę mo.... tu się zaciął — mojéj córce.

— Czy można zrobić małą uwagę? zapytałem nieśmiało.

— Owszem, owszem — to pan literata z Krakowa — przedstawił mnie burmistrz przy téj sposobności.

— Co się stanie z długą spuścizną pana i w ogóle z dolném ubraniem panów, jeżeli będzie błoto?

Spojrzeli po sobie wszyscy.

— Wtedy moje żółte buty na nic — szepnął jeden.

— I moje — (dodał drugi).

— Ale, nie będzie błota — rzekł z fantazyją trzeci.

— Czy który z panów obstalował na ten dzień pogodę? spytałem.

— Więc cóż robić? rzekł burmistrz skrobiąc się zakłopotany po głowie.

— Jabym myślał na koniach wystąpić.

— Na koniach? kawalkada! — a jak Boga kocham, wybornie, doskonale. Genialna myśl. Bo nawet niewypadałoby, żeby książę siedział w powozie, a my przed nim jak piechury nie przymierzając pod liniją wyciągnięci stali. — A tak panie z karabelami na koniach, mosterdzieju — tu burmistrz machnął ręką rozochocony.

— Ale my na koniach jeździć nie umiemy, pozrucają nas.

— Co mają zrucać. Chłopa nie zrucają, to obywatela tém bardziéj. Od czego bat. — Ta to jazda konna panie u nas w tradycyi z ojca na syna. Panie Spies, p. Igel, p. Krumstein, p. Braun, wy potomkowie Sarmatów wstąpcie w ślady ojców waszych i na koń mospanie! Ja pierwszy przykład daję, dziś przed wieczorem zrobiemy małą próbkę na rynku. Dobrze?

Na takie dzielne zaklęcie nikt nie miał odwagi odmówić; każdy miał nadzieję, że jakoś to będzie.

— Dziękuję wam panowie, rzekł burmistrz, żeście się nie cofnęli; wrodzone polskie męztwo czytam na waszych twarzach, duch ojców wstąpił w was, a wy wstąpicie na konie, a konie wystąpią na przywitanie księcia, a książę za to wystąpi za nas u rządu.

— Brawo! brawo!

Brawa te ożywiły burmistrza, zachęciły go do dalszéj mowy.

— Wystąpieniem tém zyskamy najprzód to, panowie, że...

— Nie powalamy butów — zauważył jeden z oszczędnych.

— I nie splamimy honoru narodowego — dodał burmistrz.

Huczne oklaski przerwały mowcy; wszyscy się roz-

ochocili, niejeden już w myślach galopem pędził na koniu i nie znalazł tego wcale niebezpiecznėm. Postanowiono do szóstéj wystarać się o konie i zjechać na próbę na rynek, który wysypany piaskiem, dawał wszelką gwarancyę bezpieczeństwa staropolskiéj odwadze obywateli Pipidówki.

Po załatwieniu téj sprawy burmistrz wziął na bok mnie i aptekarza i rozpoczął układy o wiersz. Aptekarz poskrobał się po głowie.

— Tak, ten tego... tego ten, napisaćby się napisało, ale co?

— Prawda — co? — powtórzył burmistrz patrząc na mnie.

— Napiszesz pan, że książę jest spadkobiercą wielkich myśli.

— Czyby nie lepiéj było: wielkich myśli spadkobierca, bo to panie zaraz można dać rym serca, np. poddanych serca.

— Owszem. Potém możesz pan napisać, że ziemia Piastów i Jagiellonów (tj. niby Galicyja) przez niego dawnym zajaśnieje blaskiem.

— Zajaśnieje — nadzieje — mruczał sobie pod nosem aptekarz.

— W końcu możesz pan coś dodać o postępie ludzkości, o propinacyjach i t. d.

— Dobrze, już wiem, już wiem; proszę was zostawić mnie samego, czuję się natchnionym wielkiemi myślami — rzekł poważnie jak Pythia.

Odeszliśmy coprędzéj, a szanowna baryła aptekarskiego cielska wtłoczyła się poważnie w głąb domu. Przez okna słyszeliśmy jeszcze głos jego wieszczy wołający:

— Janek, ruszaj po piwo!

Była to jego poetyczna ambrozyja.

Naglące czynności odwołały gdzieś burmistrza; zostałem sam, a nie mając nic do roboty, wsadziłem ręce w kieszeń i bawiłem się w gapia łażąc po rynku i przypatrując się różnym przygotowaniom na uroczystość. Wszędzie myto, czyszczono, ubierano okna, drzwi, bielono domy, pobijano dachy; słowem, miasteczko wyglądało jak żydowski podworzec przed sabathem. Gdzieniegdzie dla próby wtłaczano już transparenta w okna. Na jednym stało:

Przyrzekamy ci święcie
Na tym transparencie,
Że cię kochają tu wszystkie kasty,
Jak nas ty.

A vis-à-vis inny zwięźlejszy:

Gościu rzadki,
Gniotą nas podatki.

U Pinkiesa koszlawe i niezgrabnie wycięte litery ten sens zawierały:

Niech się ten dzień święci
Przybycia Jasne książęci,
Niech się nam na wieków wkręci
W pamięci.

Były jeszcze inne z jakiemiś symbolicznemi figurami, zawiłemi allegoryjami, którychbym nie był nigdy zrozumiał, gdyby autorzy sami nie byli dali mi stosownych objaśnień.

— Widzisz pan — mówił blacharz doglądający przed domem robotników — ta figura ma wyobrażać miasto nasze, a rozsypane u nóg jéj narzędzia rzemieślnicze znaczą: że u nas rękodzieła upadają. — Tylko trzeba będzie ten upadek rzęsiście lampami oświecić. Pietrek! byłeś u kościelnego po lampy?

— Byłem, proszę pana; ale kościelny powiedział, że nie da, że co boskiego, to Bogu — że jak św. Franciszek potrzebował gwiazdek na około, to pan....

— Cicho trutniu — tyś osioł i kościelny osioł — rozumiesz? Proszę pana jaka to ignorancyja jeszcze w tych ludziach. Nie rozumie swojego dobra nic a nic. Taka chwila to epoka dla naszego miasta, a on osioł będzie mi tu....

— A to co? zawołałem ujrzawszy pana Atanazego pędzącego środkiem rynku z czépeczkiem w ręku, którego długie końce wiatr do góry podnosił.

— To czépek hrabiny, niosę go do magazynu, staram się przysłużyć jéj czém mogę; ale coś zaczyna być źle.

— Jakto?

— Ten baron ogromnie je poprzerabiał. Panna Urszula nie patrzy już na mnie; hrabina ciągle mówi, że urodzenie to ważna rzecz, chwali tego barona, aż przykro słuchać; zdaje mi się, żeś pan prawdę powiedział, że ten baron....

— Miej pan nadzieję, jakoś się to zmieni.

— Ja téż w téj nadziei żyję i podtrzymuję ją czém mogę. Hrabina jeszcze jest dość łaskawą dla mnie; dziś kilka razy posełała mnie za różnemi sprawunkami, kupując atłas biały dla siebie na suknię radziła mi się i pożyczyła odemnie pieniędzy. — Prawda panie, że takie zaufanie to coś znaczy?

— Jakto? Więc hrabina wystąpi w białéj sukni? A jéj śluby wiecznéj żałoby?

— Widzisz pan, to nieprzewidziany wypadek. No, do widzenia; muszę się spieszyć; jeszcze mam dla panien burmistrzownych zanieść loki do fryzyjera, memu koledze wybrać cylinder gustowny, cioci kupić sześć funtów świec na iluminacyją.

— Dziś wieczorem próba.

— Stawię się niezawodnie.

Pożegnawszy Nazia wróciłem na rynek. — Obywatelstwo uwijało się już na koniach. Żałuję, że zamiast tych liter nie mogę wam podać choćby konturowych szkiców z téj improwizowanéj ujeżdżalni. Tłusta baryłeczka aptekarza usadowiła się na ogromnym bachmacie, bębniąc po końskim brzuchu nogami za każdym

podskokiem. Pan Giętkogipski na chudéj, kosmatéj, małéj szkapie, z któréj mu nogi prawie do ziemi wisiały, wyglądał jak konik zwierzyniecki; konsyliarz zgarbiony, skulony, prawie na kark zjechał koniowi z siodłem, trzymając jedną ręką kapelusz, który mu kłus zrzucał z głowy co chwila, a drugą uzdę i grzywę dla większego bezpieczeństwa. Tylko burmistrz najodważniéj się trzymał i byłby jazdą swoją zakasował wszystkich, gdyby nie to, że uparty koń ciągle pod ściany z nim podjeżdżał i ani sposób było skłonić go do przekłusowania po rynku. — Dodać do tego trzeba, że właściwie nie jeźdźcy ujeżdżali konie, ale konie jeźdźców, galopując sobie w najrozmaitszych kierunkach, gdzie się któremu podobało, bez uwagi na chęci jeźdźca i targania uzdy. — Poczciwi i niewybredni obywatele Pipidówki i z tego byli zadowoleni. Takie jeżdżenie nie po własnéj woli nie było dla nich nowością — małżonki przyzwyczaiły ich do tego.

Tłum dzieci i ludzi stojąc w sieniach domów, przypatrywał się tym pipidówskim igrzyskom.

— A cóż jak—że tam pa—nie Am—bro—ży? spytał staccato pan Giętkogipski aptekarza, mijając go kłusem.

— Idzie jakoś.

— Ano, nie święci garnki lepią, mospanie — zawołał burmistrz z pod ściany. — Moglibyśmy teraz zrobić próbę, jakby nieprzymierzając książę wjeżdżał. Panie Piszczykowski, idź pan do kościelnego, niech nabije odpustowy moździerz i wystrzeli. — A my wtedy mospanie po tym sygnale ruszymy z kopyta do bram, chciałem powiedzieć do rogatek miasta. No, do szeregu panowie.

— Do szeregu — zawołali jeźdźcy zachęcając się nawzajem.

Ale było to próżne usiłowanie, konie pokazały się mniéj posłuszne od języka i zamiast stanąć w szeregu poczęły się skupiać, trzeć o siebie, a raczéj o nogi jeźdźców, wikłać i z szeregu zrobiła się niekształtna kupka.

Wtem armatka pod kościołem wypaliła sygnał. — Spłoszone konie poczęły się rzucać, waryjować i zamiast ku rogatkom, porozlatywały się po ulicach miasta wśród krzyku uciekających i popłochu. Z pod pana Giętkogipskiego koń wysunął się jak z pod bramy tryumfalnéj i pogrzmił daléj; aptekarz z pod bachmata zsunął się przez łeb do kałuży, a rumak burmistrza oparłszy się przedniemi nogami stanął i ani ruszył z miejsca mimo batów i wołania. Burmistrz z koniem wyglądał jak karykatura Napoleona z pod Waterloo. Wreszcie zagrzewany krzykami i czapkami uliczników rumak, puścił się galopem na przód na oślep. Burmistrz stracił równowagę, kapelusz spadł mu z głowy, uzda wypadła z rąk i chwycił się grzywy. — Rumak pędził prosto — do stajni. Brama była tak niska, że widzowie oniemieli z przestrachu o szacowną głowę burmistrza. Ten jednak zdołał w chwili, gdy koń wpadał do stajni chwycić za daszek wystający nad bramą i zawisnął jak Absalon na belce uczepiony rękami, nie włosami.

Długiego potrzeba było czasu, zanim kawalkada zdołała się zebrać znowu; rozumie się, już nie na koniach. — Osądzono, że konie nie ostrzelane, że trzeba je będzie następnego dnia wypędzić na błonia, związać i ostrzeliwać. Skarb miasta na ten cel poświęcił 8 funtów prochu.

Po téj uchwale potomkowie sarmatów rozeszli się do domów smarować potłuczone boki; ja poszedłem na próbę. — Zastałem amatorki i amatorów w wesołych humorkach; ubrano dla próby Nazia w kobiece suknie. Poczciwy Nazio dla powszechnego dobra, a raczéj powszechnéj wesołości, pozwolił na tę niewinną zabawkę. Próba odbywała się wśród ciągłych śmiechów i żartów. Po skończeniu jéj, gdy Nazio chciał znowu zmieniać płeć zaproponowałem mu, żeby korzystając z ciemności wieczoru, zabrał na sobie kobiece ubranie do domu. Z początku się wahał; ale gdy do mojéj propozycyi panny klaszcząc z uciechy w ręce przyłączyły także swoje prośby, Nazio nie był w stanie się oprzeć. Wziąwszy więc jego kapelusz, podałem rękę babuni amfibicznéj i ruszyliśmy do domu.

— Panie, powiedz mi pan szczérze — rzekł Nazio do mnie, gdyśmy dzięki starannemu oświetleniu miasta utykali na każdym kamieniu — powiedz pan, czy ja w tém przebraniu nie wyglądam trochę na błazna? — Bo widzisz pan na teatrze będzie ona, a jabym nie chciał, żeby ona mnie za błazna miała.

— Proszę pana, ta to najwięksi artyści muszą nieraz Bóg wie co z siebie zrobić. Pan przecież tylko udawać będziesz kobietę, a ona i jéj matka udają to całe życie i nikt im nie ma za złe.

— A prawda.

— A przytém na cóż o n a ma wiedzieć o tém Ucharakteryzujemy pana tak, że nikt ani się domyśli, że to pan.

— A toby było doskonale; tylko trzebaby to moje przebranie w sekrecie zachować; szczególniéj przed moją ciocią, bo ona panie ma tę nieszczęśliwą naturę, że...

Masz tobie, otóż ona. — Co robić?

W istocie z drugiego chodnika przechodziła ku nam ciocia uważnie mi się przypatrując.

— Zasłoń pan twarz chustką — szepnąłem Naziowi.

Sługa pana dobrodzieja, zawołała ciocia zadyszanym głosem dopędzając mnie. — Nie potrzebuję mówić, jak mocno zaintrygował ją mój spacer wieczorny z zawoalowaną damą. Jakież było jéj zadziwienie, gdy nie zmieszany wcale jéj spotkaniem, najspokojniéj przywitałem ją i minąwszy, wprowadziłem moją towarzyszkę

na schody. Weszliśmy na górę i wsunąwszy się do pokoju, zamknęliśmy drzwi na klucz. — Pani Trakotrekowiczowa tańcowała koło drzwi pożerana ciekawością.

Za drzwiami zrobiła się cisza; przez dziurkę od klucza słychać było przyspieszony oddech córki Ewy. Nie mogła długo wytrwać w téj pozycyi. Ruszyła klamką.

— Kto tam? — spytałem tłumiąc śmiech.

— Ja. Czy można wejść?

— Nie można.

— Mam mały interesik, niech pan tylko drzwi uchyli.

— Jaki interes?

— Czy tu nie ma Nazia?

— Jest.

-- Jest? — zawołała. — Ale pewnie go nie ma.

— Więc czemuż go pani tu szuka.

— Czy na pewne jest?

— Ależ jest. — Odezwijże się pan.

Nazio bąknął kilka słów. — Ciocia gwałtowniejszy szturm przypuściła.

— Nazio! Jako ciotka rozkazuję ci, otwórz — mam z tobą pomówić o rzeczy nie cierpiącéj zwłoki.

— A, idźże pan, kiedy ciocia ma tak naglącą potrzebę — rzekłem odsuwając drzwi. Ledwo je uchyliłem, baba wtłoczyła się gwałtem do pokoju, biegając niespokojnie oczami po wszystkich kątach.

— Cóż ciocia ma za interes?

— Mój Nazio, niespodziewałam się tego po tobie.

— Czego szanowna pani?

— Czego? czego? przycupnęła i spojrzała pod łóżko, potém rzuciła się pod stolik.

— Co to, pani dobrodziko, mysz?

Pani Trakotrekowiczowa nie słuchała mnie, śledziła, wąchała, nadsłuchiwała.

— Aha, tam — zawołała i poskoczyła do szafy.

Ze śmiechem przypatrywaliśmy się téj scenie. — Pani Trakotrekowiczowa gwałtownie wpakowała rękę do szafy i wyciągnęła suknię, chustkę. To ją niezadowoliło, szukała daléj; otworzyła całą szafę i osłupiała — spojrzała na mnie, na Nazia.

— A gdzież reszta?

— Pani pyta o resztę mych sukien? Są w szafie.

— Mój panie, ja ze siebie drwić nie dam. Ja jestem kobieta moralna i nie pozwolę w moim domu...

— Odbywać rewizyi? A ja widać jestem niemoralny, bo pozwalam.

— Nazio! gdzie jest ta pani, co tu weszła?

— Cicho! pani! — rzekłem tajemniczo przykładając palce do ust.

Baba spojrzała na mnie zdziwiona, osłupiała. Zbliżyłem się do niéj i szepnąłem w ucho:

— Zamordowana. Nazio połknął jéj trupa.

Nazio wybuchnął głośnym śmiechem; ciocia zrobiła duże oczy.

— Nazio, co to znaczy?

Nazio milczał uparcie dusząc się ze śmiechu. Ja czas jakiś bawiłem się tą gorączką ciekawości; w końcu gdy mnie baba znudziła, oświadczyłem jéj, aby mnie uwolniła od wizyty i pozwoliła iść na spoczynek. —

Ustąpiła. Do północy słyszałem ją jednak pod drzwiami podkradającą się na podsłuchy.

Nadszedł nareszcie ów niezapomniany w dziejach Pipidówki dzień. Od rana wszystko było w pogotowiu na przybycie dostojnego gościa. Domy ubrane we wszystkie pstrokacizny, wyglądały jak sklepy bławatów i zabawek dziecinnych. W oknaah tłoczyły się Pipidówczanki głowa nad głową — piętrami. Na ulicach mnóstwo gawiedzi, cechy z chorągwiami, dziady, korporacyje, szkoła pod komendą zatabaczonego profesora; nawet sikawka, która podczas pożarów spokojnie drzemała w stajni (jako popsuta), wystąpiła wraz ze strażą ogniową na powitanie księcia. — Koło bramy tryumfalnéj stała muzyka kościelna złożona z kotłów i trąb, budzących zwykle do modlitwy usypiających podczas nabożeństwa parafian. Kościelny z zapalonym lontem stał i patrzał na gościniec, by dać sygnał kawalkadzie do wyjazdu. Kawalkadę stanowiło dwóch jeźdźców; reszta bowiem z powodu ciągłych ćwiczeń była n i e u s p o s o b i o n a do jazdy i piechotą postanowiła złożyć hołd księciu.

W niecierpliwém oczekiwaniu powoli wlokły się godziny. Jaki taki dla skrócenia czasu reiterował na chwilę do handelku, a nawet i do domu na małą przekąskę. — Nawet sam p. burmistrz wpadł na chwilę do kuchni przetrącić co ze specyjałów przygotowanych na przyjęcie gościa.

Uderzyła wreszcie pierwsza. Wszyscy pospieszyli na swoje stanowiska i czekali w uroczystém milczeniu. Minęła druga — minęła trzecia — czwarta — księcia nie widać. Pipidówczanie zaczęli się niepokoić. Odbiła piąta — i nic. — Tu już cierpliwości brakło; postanowiono wysłać gońca dla zasięgnięcia języka. Wydelegowano do téj ważnéj sprawy Szymka stajennego, który lubo nie z szlachetnego rodu Sarmatów, tęgo umiał zażywać konia. Szymek ruszył z kopyta i we dwie godziny wrócił z pismem, które wręczył burmistrzowi. Pismo było od zarządcy dóbr książęcych w téj treści:

„Tęgo ktoś zakpił z Waszmościów. Nie książę, ale jego stary powóz przybył tu z Wiednia. — Książę od pół roku nie wydalił się z Wiednia. O czém mam zaszczyt donieść Szanownemu Panu i pisać się jego uniżonym sługą“.

Burmistrz osłupiał, zbladł i choć mądry człek, głupim wzrokiem spojrzał po obywatelskich twarzach.

— Co się stało? co się stało?

— Nic, nic — bąknął?

— Jakto nic?

— Książe nie przyjedzie. Ważne sprawy europejskie skłoniły go do prędkiego powrotu do Wiednia. W jego imieniu przyjmijcie zacni współobywatele podziękowanie za gorliwość i staropolską gościnność, z jaką wystąpiliście na jego przyjęcie.

Gdyby ksiądz z ambony egipskiemi plagami groził Pipidówce, a mieszkańcom jéj przepowiadał zatracenie wieczne, nie wiem, czyby zrobił takie wrażenie, jak burmistrz tą wiadomością, że książę nie przyjedzie. — Osłupieli, oniemieli, ogłupieli; powarzeni porozchodzili się do domów z nosami tak spuszczonemi, że sobie ich ledwie nogami nie udeptywali idąc. Cóż to dopiero było w domu lamentów, spazmów, mdleń. Ostatecznie wszystko na mężach się skrupiło, im przypisywały szanowne połowice powód nieprzyjazdu księcia, nazwały ich nicponiami, niedołęgami i Bóg wie jak.

— Gdybyście byli czego warci, toby był przyjechał; ale wy do niczego — mówiła pani Giętkogipska, latając jak furyja po pokoju. — Mój Boże, moja fioletowa atłasowa suknia na nic.

— Możnaby ją na ornacik do kościoła ofiarować — zauważył pokornie ksiądz proboszcz, świadek naoczny téj burzy małżeńskiéj. — A co to za przyjemność będzie pani dobrodziejce po śmierci usłyszeć: „Byłem nagi, a odzialiście mnie“.

— Jeszcze co. — Tłusty połeć smarować. Każ sobie jegomość ze swoich cwancygerów zrobić ornat, to nie będziesz nagi stał pod ołtarzem.

Na ten ostry argument ksiądz położył uszy po sobie i umilkł.

Byli tacy, którzy obawiając się podobnych scen jaką miał p. Giętkogipski, nie wrócili do domów, ale się pochowali do handelku dla nabrania odwagi. Burmistrz ostatni prawie zeszedł z placu: wziął mnie na bok, pokazał list i rzekł:

— Chodźmy do hrabiny, ja ją nauczę.

Hrabina nie chciała nas przyjąć, była właśnie przy toalecie, dopiero naglący, szturmujący głos rozsierdzonego burmistrza skłonił ją, że nas przyjęła — w negliżu. Mogę zapewnić, że moralność nie ucierpiała wcale na tém. — Burmistrz coprędzéj podał jéj list. — Czytając go hrabina, zbladła.

— Pani jesteś przyczyną, że się miasto zrujnowało, zkompromitowało.

— To kłamstwo. Miałam tę wiadomość od naszego dobrego przyjaciela barona Chabinoprętskiego, on nas objaśni w tym względzie.

— Wątpię — rzekłem — baron rano zniknął, zostawszy dłużnym w hotelu 50 fl.; a swemu niby służącemu 20; za które zostawil mu próżny kuferek.

— Boże, moje brylanty! — zakrzyknęła hrabina — powierzyłam mu, by je zaniósł do naprawy. — To złodziéj.

— Dobry przyjaciel pani — rzekłem złośliwie — baron wziął je na pamiątkę.

Hrabina w rozpaczy zapomniala o tém, co winna rodowi, stanowiskn i rozpaczała jak każda zwyczajna mieszczanka. — Hrabianka załamała ręce i rzucając się na fotel, jękła.

— Cóż nam pozostało teraz?

— Pan Atanazy — szepnąłem i wyniosłem się szukać szczęśliwca, który jedynie zarobił na tym niedoszłym przyjeździe księcia.

Znalazłem go za kulisami w kostiumie babki, uczącego się roli.

Tu zamykam tekę moich karykatur, zachowując sobie dalszą ich publikacyją na później.

— Mój panie — zagadnął mnie jeden poczciwy szlagon przeglądając moją tekę — powiedz mi pan tak pod słowem, co panu Pipidówczanie zawinili, żeś pan ich tak osmarował? Bo proszę pana cóż w tém złego, że chcieli przyjąć księcia pana jak się patrzy? Nawet musieli przyjąć; zgadzam się na to, ale nie godziło się na przyjęcie lada książątka wydawać zaraz marnotrawnie całego zasobu patryjotyzmu, świętych uczuć i godności narodowéj. A czémże więcéj Pipidówka mogłaby przyjąć Kazimierza Wielkiego lub wreszcie Kościuszkę, gdyby z grobu powstali? We wszystkiém winna być miara; tam gdzie można opędzić groszem, nie trzeba sypać dukatami. — Dla biednych tułaczów Pipidówka grosza nie miała, a na przyjęcie księcia nie wahała się rujnować. Zapowiedziany przyjazd księcia przysporzył żydom weksli i zastawów. — Czyż to nie karykaturalne? Oszust, kto obiecuje więcéj, niż dać może; a kiep ten, co więcéj daje niż może.

Niestańczyk.

Z PRZYRODY.

K O T.

(Ciąg dalszy).

Trudno przypuścić, że kiedyś istniał kot prawdziwie dziki. — Dla kogóżby on tam wyciągał i jeżył swój grzbiet? dla kogoby nastrzępiał ogon? dla kogoby kręcił się w kółko? z jakiéjż mleczarni wyjadałby kożuszki? z jakiéjż śpiżarni wyciągałby pieczeń? A jeżeliby tego nie robił i nie umiał, czyż byłby kotkiem? Wynika więc z tego, że kiedy Adam z Ewą siedzieli sobie na murawie, to pomiędzy niemi bawił się kotek, że koło komina w arce Noego grzała się parka kotów drzemiąc, z oczami na wpół przywartemi i schowawszy łapki pod siebie.

Wielu pisarzów wyjaśnia, zkąd się biorą koty w miejscach, gdzie ich przedtém nie widziano. Lubią one być na pokładzie, należeć do załogi okrętu paro-

wego i dla przyjemnego ciepła od kotła znoszą proch i kurz węglowy. Towarzysze podróży cenią ich wielce. Para kotków urodzonych na morzu jest to godny podarunek dla króla któréj z wysp Oceanu.

W istocie koty przyczyniły się nieraz wiele do zdziwienia, jakie u ludów odosobnionych i surowych wywoływało pojawienie się nowoczesnych misyonarzy.

Podczas wyprawy M. Williamsa do Polinezyi, żona jednego misyonarza na wyspie Rarotonga miała ze sobą kota, który jednak na widok wielu obcych uciekł. Jeden z kapłanów Tiaki, który nawrócony przez misyonarzy zniszczył dawnego bożka, mieszkał niedaleko osady. W nocy, gdy spał na macie, żona jego nie mogąc zasnąć w zamyśleniu o wypadkach zaszłych przez dzień, zobaczyła nagle z przestrachem, że na progu drzwi błyszczały dwie iskry. Zbudziła męża, wyrzucała mu zniszczenie bożka, który widocznie przyszedł mścić się. „Wstań i módl się“! Mąż wstał, zobaczył blask, usłyszał tajemniczy głos i począł wyśpiewywać alfabet dla przebłagania wyższych potęg. Kot przestraszył się tego hałasu i uciekł. Później obrał sobie siedzibę w maralu, świątyni zbudowanéj pod lasem. Zdarza się, że kapłan z całym tłumem przyszedł tam dla czynienia ofiar. Nasz kot smutny, bo osamotniały i może głodny powitał ich miauczeniem. Kapłan co żywo wybiega z świątyni i krzyczy: potwór wyszły z przepaści morskich! Pobożni rozpierzchli się coprędzéj, uzbroili się, poczernili węglem i wrócili w wielkiéj liczbie, żeby pokonać zjawisko. Kot ratując się, rzucił się pomiędzy tłum, rozegnał i umknął. Pod wieczór dla nabrania odwagi wyprawiano wojenne tańce. Gdy się uspokoiło, nasz kot stęskniony za towarzystwem odważył się na powtórne odwiedziny w domu. Wślizgnął się cichutko, wlazł pod przykrycie i zasnął sobie spokojnie. Nagle gospodarz zbudził się i słyszy mruczenie; sądząc, że to drugi potwór, pobudził domowników i uzbrojeni w dzidy napadli i zabili biednego kota, który sobie podczas tego spał jak najspokojniéj.

Jednak koty, chociaż ich prześladowano i nie zrozumiano, stały się bardzo cennym nabytkiem dla tych krajów. Wykonywanie pożytecznego rzemiosła było dla X. Williamsa jednym ze środków prozelityzmu. Pastor chrześcijański był sobie kowalem; ale szczury, obfite na Rorotonga robiły mu wielkie szkody w jego robotach. Napróżno urządził miech z koziéj skóry; szczury na nocnym sejmie zjadły miech do szczętu. Trzeba było na to poradzić. Misyonarze z odwiedzin sąsiedniéj wyspy Aitutaki powrócili do Rorotongi w ciekawém towarzystwie prosiąt, orzechów kokosowych i kotów. Król przysądził dla siebie siedmdziesiąt prosiąt, a jeszcze więcéj kotów. Koty stały się niebawem cennemi, jak skarby, gdyż szczury grasowały tam tak okrutnie, że przed jedzeniem potrzeba było zawsze spędzać je ze stołu. Kiedy się odbywały wspólne modlitwy na klęczkach, szczury bez ceremonii chodziły sobie po głowach modlących się, a z trudnością zdołano im się opędzić w łóżku; pod wezgłowiem Williamsa ubito całe gniazdo; kufry skórzane, buty znikały w ciągu nocy — a były to straty niezmiernie dotkliwe. Wydano więc wyrok śmierci na całą rasę szczurów; co żyło uzbroiło się i urządzono nosze z kokosowych wicin na składanie poległych. Trzydzieści noszów napełniono w godzinie, lecz mimo to legiony nieprzyjacielskie nie zdawały się umniejszać. Pojawienie się kotów było zatém niezmiernem dobrodziejstwem tém więcéj, że pomagała im w dziele wytępienia żarłoczność świń.

Mówią, że Chińczycy rozpoznawają godziny dnia po oczach kota, ale gdyby na odwrót koty umiały po chińsku, mogłyby nam nie tylko godzinę, ale nawet dzień powiedzieć. Na dachu pewnych warsztatów kowalskich zgromadzały się regularnie koty co niedziela, kiedy nie było roboty. W ciągu tygodnia nie pojawił się ani jeden, gdyż dachówki były zanadto rozgrzane, i dopiero po temperaturze zniżonéj rozpoznawały, że niedziela nadeszła.

Lady Cust opisuje obszernie przyrodę kotów, sposoby leczenia ich i obchodzenia się z niemi w chorobach — odsełamy tam przyjaciół i przyjaciółki kotów po informacyje, a tu przytoczymy kilka spostrzeżeń z dawien dawna przekazanych:

(Dok. nast.)

TEATR. *(Fałszywi poczciwcy — List żelazny — Wielkorządzca Bengalu* — pp. Nowakowscy — *Obawy.)* W nowoczesnéj komedyi francuzkiéj trzy główne można rozróżnić odmiany: Z wydarzenia drobnego, z jakiéjś słabostki lub nawyczki, nieraz przy zupełnym braku dramatycznéj treści, wysnuwa autor jakby z kłębka cały szereg zawikłań i niespodzianek (Musset, Feuillet). Wielki ruch sceniczny i dowcip dyalogu, jeżeli je uwydatni lekka gra, — to są zalety, zapewniające podobnym sztukom powodzenie — na jeden wieczór; można się uśmiać, godzina się mignie, ale ani w umyśle, ani w sercu nic nie pozostanie. Są to igraszki, cacka salonowe — rodzaj, w którym nikt Francuzom nie dorówna. Zupełnie to samo miejsce zajmują w przemyśle *articles de Paris.* — Drugą odmianą są sztuki, w których nie idzie o ludzi, ale o idee; scena jest trybunałem, w którym rozstrzygają się processa wszelkich zagadnień społecznych, kwestya pracy, różnice stanów, emancypacya itp. Interes, jaki obudzają spółczesne dążenia, anatomiczny rozkład stosunków ludzkich, pewna nagość a ztąd drastyczność sytuacyj; warunki te stanowią o wziętości tych widowisk tendencyjnych, lecz wartości estetycznéj, jako utwory poezyi, nie mają. Trzeci dopiero rodzaj, który łączy w sobie zalety

poprzednich, a mianowicie zręczność sceniczną obok ideowego tła, ale za główne zadanie ma grę charakterów ludzkich, zasługuje na nazwę komedyi. Autorowie tworzą typy dzisiejszego społeczeństwa. Postacie te, jako ludzie swojego czasu, są jego wyobrazicielami; ale mając zarazem swoje osobiste właściwości, nie stają się allegoryami, nie przestają być żywymi ludźmi. Ztąd obok obrazu epoki rozwija się w komedyi cała psychiczna strona osób działających, obok walki interesów walka charakterów i namiętności, a to dopiero stanowi właściwy dramatyczny wątek i zapewnia trwałość tym utworom, bo bije z nich nie jednodniowa, ale ogólnoludzka prawda. Utwory te są albo właściwemi komedyami, w których główną rzeczą jest charakterystyka i komika (Sardou), albo tak zwaną *comédie sérieuse* (Dumas, Augier), będącą właściwym dramatem naszych czasów.

Za przykładem utalentowanych pisarzów rzucono się dzisiaj na polowanie za typami. Wyszukawszy kilka mniéj lub więcéj ciekawych figur, układa się je w sceny, przedstawia się je żywcem, tak jak są w codziennem życiu: jak chodzą, jedzą, kłócą się, grają na giełdzie i żenią — i w ten sposób robi się niby komedya. Tymczasem: galerya taka jest co najwięcéj fotograficznym albumem bez organicznéj całości, który dowolnie dopełniać można — jako utwór sceniczny jest to tylko mechaniczny zlepek. Najpierw bowiem fotografia nie jest typem: Społeczeństwo każde, składając się z rozmaitych osobistości, przedstawia tylko żywioły do typów, kontury, kierunki pewne, a tylko prawdziwy talent może z pojedynczych rysów, albo z jednego, przeważnego dopełnić człowieka i stworzyć typ. Powtóre nie dosyć nakreślić i pokazać kilku oryginałów; potrzeba, żeby ich działanie wprowadzało ich w sytuacye, w których popełniają sprzeczności, sprzeciwiają się sami sobie, a ten warunek jedynie stanowi żywioł komiczny.

Przedstawiony właśnie u nas utwór Fałszywi poczciwcy *(Les faux bons hommes)* należy do tego rodzaju sztuk, w których znać robotę, pomimo zręczności i dowcipu; lecz dobrze odegrany może zająć i ubawić. Galerya poczciwców jest następująca: Peponnet, zbogacony głupiec, w gruncie poczciwy, ale oszołomiony i schytrzony giełdowemi spekulacyami, które sumieniu zaprzeczają prawa głosu. Pieniądz jest mu bogiem. W dwóch córkach jego — (coś jakby Aniela i Klara ze Ślubów panieńskich) kochają się dwaj artyści malarze (coś jakby Gustaw i Albin). Ale ojciec zrobił układ, że młodszą wydaje za Anatola, giełdowca, polującego za posagiem, a protegowanego przez potęgę finansową Lesardonella, który Peponnetowi imponuje swoim gieniuszem finansowym i wyłudza od niego cały majątek na spekulacye, mające przynieść miliony. Z innéj strony Dufouré z małżonką, dorokbowicze ordynaryjniejszéj natury, żyjący z sobą jak pies z kotem a wobec ludzi udający czułość, forytują do jednéj z dziedziczek Peponneta swojego synka, zepsutego próżniaka. Tymczasem Peponnet dowiaduje się, że Vertillac, kapitalista żyła, suchy jak maszyna, jest stryjem Oktawa malarza; w nadziei, że go stryj zrobi dziedzicem, zrywa z Anatolem i przyrzeka temu córkę. Gdy jednak stryj oświadcza, że z powodu obranego zawodu artystycznego wydziedziczył synowca, ojciec bez względu na przywiązanie córki wraca do Anatola. Wśród tego towarzystwa kręci się Bassecourt, chodząca zjadliwość i dokuczliwość pod maską układnéj usłużności — a drugi artysta Edgar, zbierający album poczciwców, przedstawia wyższą ironią, pochodzącą z boleści serca na widok zepsucia i zmateryalizowania. Kocha się on w drugiéj córce Peponneta, Eugienii, ale boi się jéj, jako wychowanéj płytko i uganiającéj się tylko za blaskiem, jaki majątek daje. — Oktaw, chcąc postawić na swojém, porzuca pozornie malarstwo, godzi się ze stryjem i staje się wkrótce słynnym giełdzistą ogromnych nadziei. Tutaj autor popełnia tę naiwność, że każe nam wierzyć, że ani panna ani przyjaciel nie poznają się na tém, że to tylko gra z jego strony. Nowo upieczony giełdzista ponawia teraz staranie o rękę Eweliny, ale traktuje to tylko jako interes. Peponnet podziwia go, ale kiedy przychodzi do intercyzy, kiedy się odbywa (wobec córek) wyborna scena targu, w któréj zięć wszystko najskrupulatniéj oblicza na wypadek śmierci teścia, oblewa Peponneta zimny pot; ten ideał finansowy bez serca i najmniejszéj względności przerasta jego podziw, ale cofnąć się nie można. W ostatnim akcie Oktaw ożeniony powrócił do sztuki; Peponnet niouleczony jeszcze oburza się na tę podłość; nie chce go znać więcéj, i zamierza choć drugą córkę wydać za Anatola. Lecz wkrótce powraca zrujnowany materyalnie i złamany moralnie — gdyż Lecardonnel z całym jego majątkiem umknął. Oktaw z posagu żony oddaje część teściowi, część na posag siostry; Edgar pozyskuje skruszoną Amelią (Anatol wobec ruiny usunął się); uczucia godne, stosunki rodzinne odnoszą zwycięstwo nad stosunkami, które tylko pieniądze wiążą. — Jestto więc fotografia brudów i śmieszności, któréj daleko do dzieła sztuki. Rzecz kręci się ciągle w kółko, około tych samych motywów, Bassecourt, Edgar, Eugenia, oboje Dufouré z synem, o ile się nadają do galeryi, o tyle wcale nie są potrzebni do toku rzeczy, która bez nich daleko lepiéj w dwóch aktach mogłaby się rozwijać. Te wady w budowie sztuki wystąpiły tém bardziéj, ile że nie wszyscy artyści umieli pokryć je dobrą grą i zająć rolą. Pan Rapacki oddał Peponneta wybornie, uwydatniając całego człowieka z wszystkiemi słabościami jego; powiemy tylko, że oddał go raczéj po polsku jak po francuzku; pokazał go takim, jakimby musiał być nasz krajowy Peponnet. P. Benda

oddał bardzo przyjemnie i lekko napozór zimną, ironiczną postać Edgara; role takie najlepiéj talentowi pana B. odpowiadają. Ale też na tém koniec. Bassecourt, Anatol, Lecardonnel (ci dwaj nawet nie umieli roli) zupełnie zginęli przedstawieni blado, bezbarwnie; Vertillac wyglądał uczciwie i sympatycznie; pani Nowakowska grała dobrze, jeżeli weźmiemy z osobna każdą scenę — ale całości charakteru Eugenii nie można było poznać, czemu potrochu i autor winien; pan Nowakowski zrobił z Dufouré wstrętną karykaturę, na którą trudno było patrzeć.

W pp. Nowakowskich pozyskaliśmy bardzo użytecznych artystów. W Poczwarce, w kilku rolach salonowych pokazała pani N. wiele siły, pewności i naturalności; o ile się nam jednak zdaje, odpowiadają jéj więcéj role seryo w dramacie. Pan N. ma wielką rutynę; w komedyi „Partya pikiety" odegrał barona, arystokratę staréj daty, z wyborną charakterystyką; lecz w rolach komicznych popada w płaskość i to zawsze według jednéj maniery, a zdaje się to czynić umyślnie. Sztuczki tego rodzaju lubiane są w teatrach przedmieściowych wiedeńskich, i tam uchodzą; ale tak ze względu na estetykę jak i na powodzenie pana N. musimy mu zwrócić uwagę, żeśmy w krakowskim teatrze od wszelkiéj hanswurstady dawno odwykli, i że koniecznie z przesady wyzwolić się powinien.

Po raz pierwszy za obecnéj dyrekcyi przedstawiono „List żelazny", dramat A. Małeckiego. Jestto utwór wysokiéj wartości, a wymagający wielkich sił scenicznych. Rzecz prowadzona na sposób klasyczny, grecki; akcya ujęta w dyalogu mogłaby nużyć dzisiejszą publiczność, nieprzywykłą do powagi i prostoty bezefektowéj, i odwykłą od bacznego słuchania deklamacyi na scenie. Lecz charaktery osób i epoki są tak wyraziście nakreślone, patos ogólne jest tak podniosłe, kolizye i walki wewnętrzne tak prawdziwie przeprowadzone, dykcya tak żywa, że dramat ten będzie zawsze ozdobą sceny polskiéj. Są w nim jednak i wady. — Przedmiot przerósł siły autora i zmusił go do wprowadzenia żywiołów obcych nowoczesnemu dramatowi, aby przynajmniéj uczynić zadość sprawiedliwości estetycznéj.

W dramacie nowoczesnym występują ludzie działający z świadomością i wolną wolą — kolizya woli i namiętności wywołuje tragiczne katastrofy, w których wszyscy uczestnicy winni i niewinni giną, a ponad mogiłami unosi się tryumfująca prawda i osiada jako przekonanie w umysłach widzów. Innych sprężyn nowoczesny dramat nie znosi; duchy, zjawiska mogą być wprowadzone tylko jako upostaciowania pewnych czynności umysłu ludzkiego, a wszelkie wdanie się zewnętrznych wypadków jest błędem przeciwnym naszemu pojęciu dramatu i człowieka — chyba, że mamy przed sobą utwór fantastyczny, jak np. „Balladyna." — Tymczasem autor postąpił inaczéj. Aby zbrodniarzowi matkobójcy odebrać wszystko: sławę, karyerę, żonę, i rzucić go odartego pod krzyż, na pastwę sumienia, używa do tego pioruna (który zabija żonę) czyli jakoby bezpośredniego wdania się opatrzności. Opatrzność chrześciańska ma tu zastąpić ślepe fatum greckie. Jest to, jakeśmy powiedzieli, błąd przeciw pojęciu dramatu, a nadto rzecz, która wcale ujść nie może. Zkądże bowiem autor ma prawo do zastępowania opatrzności? zkąd może wiedzieć, że opatrzność w danym przypadku tak a nie inaczéjby postąpiła? że tutaj np. nie zostawiłaby właśnie zbrodniarzowi żony, jako ciężaru, jako żywego wyrzutu sumienia? Idąc tą koleją, musielibyśmy przyznać słuszność gminnym przesądom, które w każdém zdarzeniu: w piorunie, w złamaniu nogi, w pożarze, w gradzie itp., widzą bezpośredni dopust boży, karę lub ostrzeżenie — czyli zeszlibyśmy do zabobonu — a tu krytyka ustaje. Opatrzność w dramacie jest niemożliwą. — Autor sam może karać, zabijać, przebaczać, słowem wszystko, co uważa za właściwe — byle tylko sposobami ludzkiemi i byle nie w imieniu opatrzności. — Żałować też trzeba, że autor nie ożywił akcyi wybitniejszém wprowadzeniem walk partyj, które tylko w oddaleniu ukazuje — właściwi bohaterowie zyskaliby na tém.

Treści dramatu nie podamy, gdyż powinien on być wszystkim znanym; tylko o grze słów kilka. Pani Wolska w roli wieśniaczki, dręczonéj w sumieniu za podrzucenie dziecka swojego innéj matce, wielkiéj pani, a narażenie na śmierć jéj dziecka — okazała całe mistrzowstwo gry, któreśmy jéj zawsze przyznawali. Wielkie skruszenie, wielką radość wobec syna szlachcica i boleść, gdy ją odtrąca, i gotowość oddania życia, gdy tego wymaga — oddała z rzewną prawdą, którą tém więcéj uwydatniało zachowanie ruchów i całego wzięcia się wieśniaczego. Pani W. posiada w równym stopniu jak p. Rapacki poczucie miary estetycznéj, a w tym dramacie i jako królowa w „Szklance wody" dała tego nowe dowody. Pan Rapacki, jako starosta, w jednéj osobie przyszły teść i sędzia, oddał tę postać idealną, jak z jednego odlewu, z godnością wywołującą uszanowanie i miłość, tak że nawet sceny epizodyczne, lubo niepotrzebne (jak błogpsławieństwo przedślubne), przedstawiały się jako śliczne rodzajowocharakterystyczne obrazki. Stworzył pan R. postać posągową, szlachetną, tak że widz musiał uwierzyć i uznać za rzecz prawdziwą, że takiego człowieka wiadomość o zbrodni zięcia musiała o śmierć przyprawić. — Inaczéj co do roli krajczego. Pan Ładnowski pojął go jako zwykły czarny charakter i stosownie do tego pojęcia oddał go dobrze, używając rzutów kurczowych i wężowych *à la* Spiegelberg. Atoli pojęcie to jest nie

polskie i fałszywe. Z krajczego zrobił autor człowieka w rozkwicie sił, mającego ogromne znaczenie w kraju, żywiącego dalekie plany i szczerze kochającego — słowem charakter ambitny, ale prawy. Nagle wznosi się przed nim zawada, która go ma wytrącić z otwartéj kolei życia i poddać pod jarzmo pańczczyźniane, jeżeli się sprawdzi lub wyda kiedy, że on jest synem chłopskim. Więc lew się w nim rzuca, cierpi serce, cierpi uprawniona ambicya, bo kraj jego usług potrzebuje, i jak mówi starosta o nim „jeżeli on kraju nie zbawi, to nikt“ — a z drugiéj strony uczucia syna wcale się w nim nie odzywają — wszystko mówi za tém, aby zgruchotać po drodze swojéj jedno życie jakiéjś staréj chłopki. — Zbrodni to nie umniejsza, ale powinno pozyskać spółczucie widza, a nie oburzać go. Walki te takiéj koturnowéj postaci powinny być oddane z demoniczną siłą, powinna wiać z nich uroczysta groza, zbrodnię winien popełniać z majestatem i pewnością człowieka, który wie, że dla rzeczy wielkich poświęca małe; powinien być s p o k o j n y wśród walki; żadnych rzutów, kurczów, drżenia i obawy nawet po zbrodni — miłość i ambicya ukołysały sumienie; dopiero s k u t k i zbrodni: śmierć teścia, żony, powinny mu otworzyć oczy na jego czyn, na nicość jego pobudek i zgruchotać go z trzaskiem, jakby się góry zapadały. Tego wszystkiego nie było w grze pana Ł., lubo autor wyraźnemi wskazówkami tego żąda. Sądzimy, że sam pan Ł. słuszność nam przyzna. Aby przedstawić godnie postacie noszące na sobie piętno historyczne, nie wystarcza do tego rutyna lub intuicya; potrzeba nadto pilnie wczytywać się w historyą i studyować portrety historyczne; potrzeba téż kierunku światłéj reżyseryi, którаby umiała zwracać uwagę i uzupełniać. W zeszłym roku teatr nasz wchodził już na tę drogę — obęcnie schodzi znów na stanowisko p r o w i n c y o n a l n y c h teatrów, dobre sztuki padają, publiczność się zraża. Z obowiązku naszego ostrzegamy zawczasu!

Przedstawienie komedyi Laubego „Wielkrządzca Bengalu“ było wymownym okazem ułomności i braków, na jakie nasz teatr obecnie choruje. Publiczność się nudziła. Wprawdzie treść sztuki jest niezwykłą, nieco za specyalną — bo o cóż tam idzie? o wolność druku, o sądy przysięgłych, o nietykalność mieszkań, o bezpieczeństwo osób, o sposoby rządzenia prowincyami, o zwalenie ministerstwa — jestto treść zapewne dla płci pięknéj nie zbyt pociągająca. Niemniéj jednak są to sprawy najważniejsze dla każdego (ukształconego) społeczeństwa, a przytém rozwija się rzecz z wielkiém życiem i biegłością sceniczną; nadto oprócz walki interesów i charakterów politycznych jest i strona sercowa, jest miłość, zazdrość, wpływ kobiet na samodzielność i śmiałość postępowania mężczyzn, obraz wzajemnego oddziaływania stosunków prywatnych, rodzinnych, na kierunek polityki — są wszystkie warunki, aby sztuka zajęła. Ale cóż, kiedy wszystko to w przedstawieniu zginęło; nietylko że grą nie zostało podniesione, lecz owszem zatarte. Jedyna postać lorda Chatama (Pitt I) stała na wysokości wymagań sztuki i historycznéj prawdy i wysterczała jak wieża wśród płaszczyzny. Nie potrzeba dodawać, że grał go pan R a p a c k i. Zresztą wszystkie bez wyjątku ważniejsze role upadły — ani w charakterystyce, ani w grze nie było widać tych ludzi, jakich autor nakreślił — to, co mówili, a jak się zachowywali, były to dwie sprzeczności. Nawet pan B e n d a zapomniał, że gra lorda, a nadto powtórzył żywcem rolę swoję z komedyi „Letorrier“; p. W o l s k i był ruchliwym mieszczaninem, w którym nie było ani śladu t o r y s a, despoty; ministrowie mogli tylko śmieszność obudzać; kochanek kobiety energicznéj, rozumnéj (tj. według autora, nie według panny S.) wyglądał na żaka; p. Ł a d n o w s k i zepsuł sobie rolę fałszywą charakteryzacyą. To samo co do ról kobiecych. Jest niepodobieństwem, aby pani A s z p e r g e r grała jeszcze role mogące wzbudzać miłość lub zazdrość; panna B a u m a n n nic nie postępuje, ckliwa płaczliwość zaczyna być u niéj manierą — wcale nie zrozumiała tajemniczéj postaci Junii, itd. Jeżeli więc w przedstawieniu nie ma całości, jeżeli charaktery pojedyncze nie są uwydatnione, jeżeli historycznego kolorytu zupełnie nie ma, i do tego jeszcze role niewłasciwie są obsadzone, to nic dziwnego, że sztuka pada, że publiczność sytuacyj nie rozumie, nudzi się i niecierpliwi. Dlaczego nie oddano ról paniom N o w a k o w s k i é j i W o l s k i é j? Powtarzamy jeszcze raz, że ostrzegamy z a w c z a s u, a zarazem prosimy dyrekcyą o spieszne urządzenie reżyseryi. Po tak świetnym kursie teatralnym, jak był zeszłoroczny, nie można dzisiaj lada czém publiczności zbywać, a tém mniéj zadowolnić!

W końcu wiadomość, o któréj dotąd zdaje się nie wie Europa. Oto nietylko w Pradze, ale i w Krakowie panuje **stan wyjątkowy**. Komedyją Laubego grano u nas według tego samego egzemplarza co w Wiedniu — mimo to policyja wykreśliła w roli Juniusa najpiękniejsze ustępy. Dziwna rzecz; co nie razi uszów cesarza i dworu w Wiedniu, tego policyja w Krakowie strawić nie może! — albo téż czyni to w ojcowskiéj pieczołowitości, obawiając się, że publiczność oburzyłaby się przeciw takim rewolucyjnym kacerstwom i ukamienowała artystów! Niech żyje wolność myśli i słowa, byle w zgodzie z cenzurą!

10go Listopada. S.

Kronika. Dzień zaduszny zaprowadził nas między groby — na cmentarz. Słusznie ktoś powiedział, że u nas nic tak bardzo nie prosperuje, jak ruiny i groby. Kamienic od kilkunastu lat nie wiele przybyło; ale za to groby mnożą się z pospiechem, że nowe grunta pod nie dokupić musiano; i to coraz większe, prawdziwe kamieniczki, jedna nawet z okienkami i balkonikiem, opleconym bluszczem,

pod którym może w księżycowych nocach koścista śmierć wygrywa serenady hiszpańskie białym duszyczkom. — Jeżeli ta chęć unieśmiertelnienia swych nazwisk dłużéj potrwa, to cmentarz przemieni się w prawdziwe miasteczko, z osobnemi ulicami, ogródkami. Powiecie, że to pamięć o umarłych tak skwapliwie zabudowuje cmentarz; być może, a jednak mówcie sobie co chcecie, więcéj łez zdarzyło mi się widzieć padających na zapadłe groby i przegniłe krzyże, niż przy tych szumnych grobowcach, które służba ubierała tego dnia w girlandy, kwiaty, wieńce i kolorowe lampy. — Chcecie widzieć prawdziwy żal po umarłych? Chodźcie za mną w odludną część cmentarza zarosłą trawą. Wśród trawy widać palącą się świeczkę, któréj płomieniem wiatr szamocze, ten sam wiatr przynosi nam z tamtéj strony płacz bolesny, jęczący. Przez dziesięć lat w téj stronie cmentarza chudzina jakiś opłakuje matki swojéj. — Nie widziałem piękniejszego grobowca nad ten płacz sierocy. — W uliczce po prawéj stronie od kaplicy odszukałem inny pomnik. Prosty krzyż żelazny wbity w kamień, a na kamieniu krótki napis:

Józefa Rogodzianka
sierota
żyła lat 19.

Ktoś co pamiętał nawet i po śmierci o sierocie, nie pochwalił się z tém przed ludźmi, nie wypisał nazwiska swego, a jednak każdy stając przed tym nagrobkiem, myśli o bezimiennym opiekunie sieroty i długo o nim pamiętać będzie.

Od tego nagrobka poszedłem na ścieżkę ciągnącą się wzdłuż muru cmentarnego. Tu są najstarsze nagrobki. Na niektórych czas powyżérał napisy, zbladłe, zwietrzałe marmury poodpadały kawałkami, trawa i niepamięć ludzka je przykryły. Na grobowcach odczytywałem nazwiska, których w mieście nikt już nie zna. To zapomnienie ludzkie po nie całych stu latach, opuszczenie grobów smutne robi wrażenie. Tam koło mogił palą się światła, szemrzą pacierze — tu nikogo, nikt nie rzucił wieńca na stary grób, nikt nie modlił się. Taki los czeka i te wspaniałe grobowce, które dziś jeszcze czuć wapnem i farbą.

Wracając do środka cmentarza, rzuciłem dziadom jałmużnę: polecając ich modłom dusze zapomnianych i przeszedłem na dziecinny cmentarzyk. — Lubię stawać przy mogiłkach dzieci, jakiś pogodny spokój siadł na tych małych mogiłkach, śmierć tutaj nie ma strasznego oblicza, wygląda więcéj na sen — i w żalu matek płaczących nie ma rozpaczy. — Łażąc tak wśród krzyżów i nagrobków, na których zdrobniałe imiona zmarłych dziatek wypisano — zobaczyłem śliczny obrazek z żywych osób. Troje dzieci, dwie dziewczynki jasnowłose i chłopczyk zapalali świeczki nad mogiłką braciszka, osłaniali je rączkami od wiatru i wśród tego zajęcia po cichu odmawiali pacierze, jakby się bali zbudzić umarłego. Długo stałem i przypatrywałem się tym niewinnym aniołkom i zazdrościłem tym, za których się modlą takie czyste duszki. —

Zajrzałem potém na grobowiec Wasilewskiego. Nie przystrojono go tego roku; gorączka patryjotyzmu minęła, a z nią i pamięć o nim. Również o grobach z roku 1846 i 63 nie wiele pamiętano. — Vae victis! —

Mówiąc o dniu zadusznym, nie podobna zamilczeć o tych zastępach dziadów, zalegających drogę do cmentarza, żebrzących, skomlących, śpiewających. Ciekawe to studyja, są tam i kastowi, (dziedziczący dziadostwo od przodków), fachowi i dyletanci. Z różnych warstw społeczeństwa wódka lub choroby i nieszczęścia dostarczyły tu członków. Najciekawszą częścią jest garstka żebraków stojących gromadnie lub szeregiem pod bramą cmentarną z wyciągniętemi dłoniami; jedném okiem patrzą na przechodniów, drugiém na pobliską karczmę, jakby się bali, by im nie drapnęła tymczasem. — Obrzękłe twarze, bełkotane niewyraźnie prośby i pacierze, nierzadko since po czole i skroni zalecają ich miłosierdziu przechodniów i dają gwarancyją, że jeżeli się nie pomodlą, to z pewnością popiją za dusze nieboszczyków. Pogańska tradycyja **stypy** wiernie przechowuje się w téj klasie ludzi.

Poranek dnia zadusznego był jak zwykle pochmurny, zamglony, jakby duszyczki zmarłe zstępując na ziemię zasłaniały niebo; późniéj dopiero rozjaśniło się i ociepliło na kilka dni. Natura zrobiła sobie w tym względzie wybryczek mały grzejąc nas w czasie, w którym śniegiem obsypywać zwykła. — Na plantacyjach kasztan zakwitnął po raz drugi, biorąc to chwilowe ciepło za wiosnę z roku 1869go; w Warszawie (jak donosi „Kurier") fijołki rozkwitują. Niespodziankami rzuca na nas jesień. Cóż da zima? Może i ta gotuje nam jakie niespodzianki. Tymczasem ze spodziewanych rzeczy zapisać wypada: teatr amatorski akademicki, koło którego już się krzątać zaczynają, i wieczorki muzykalne Towarzystwa artystyczno-literackiego w salach Resursy mieszczańskiéj w Poniedziałki. — Nadto w „Postępie" rozpoczęły się już teraz odczyty dla rzemieślników nadzwyczaj uczęszczane i pięknie przez prelegentów ułożone. — Tamże urządza dla siebie klasa rzemieślnicza co Sobota wieczorki tańcujące, które w karnawał ożywią się zapewne większą liczbą gości. — W końcu jest nadzieja, że i „Muza" pod dyrekcyją p. Wopalki częściéj dawać będzie teraz oznaki życia. Mszą u Kapucynów rozpoczęła zimowy kurs. Msza ta na głosy męzkie i mieszane wykonana była przy towarzyszeniu Fisharmoniki bardzo starannie. Duet z chorami (sopran i tenor) należały do piękniejszych jéj ustępów. — Towarzystwo „Muzy" otworzyło zarazem szkołę śpiewu i muzyki (na instrumentach dętych i rzniętych). Taniość opłaty czynią ją przystępną dla wszystkich.



Niebawem ukaże się na scenie naszéj na benefis p. Rapackiego nowa komedyja seryo Wład. Koziebrodzkiego, p. t.: hr. Maryan czyli **Dzisiejsi**. Sztuka ta, o ileśmy z czytania poznać mogli, zyska na scenie takie znaczenie, jak niegdyś **Żydzi** Korzeniowskiego — radzimy więc zawczasu upewnić się o bilety. — W przyszłym nrze rozpoczniemy zapowiedziane już „**Bolowe rękawiczki**", tegoż autora.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu" i księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.